

**SCHULZ**  
**BRUNO**

EMERYT

Schulz Bruno

**Emeryt**

«Public Domain»

**Bruno S.**

Emeryt / S. Bruno — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

# Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

8

# Bruno Schulz

## Emeryt

Jestem emerytem w dosłownym i całkowitym znaczeniu tego wyrazu, bardzo daleko posuniętym w tej własności, poważnie zaawansowanym, emerytem wysokiej próby.

Być może, że przekroczyłem nawet pod tym względem pewne ostateczne i dopuszczalne granice. Nie chcę tego zatajać, cóż w tym tak nadzwyczajnego? Po co robić zaraz wielkie oczy i patrzeć z tym obłudnym szacunkiem, z tą uroczystą powagą, w której tyle jest tajonej radości ze szkody bliźniego? Jak mało ludzie mają w gruncie rzeczy najprymitywniejszego taktu! Takie fakty należy przyjmować z najzwyczajniejszą miną, z pewnym roztargnieniem i z błahością inherentną<sup>1</sup> tym sprawom. Należy przechodzić nad tym lekko do porządku dziennego, nucąc sobie niejako coś pod nosem, tak jak ja nad tym lekko i beztrosko przechodzę. Może dlatego jestem trochę niepewny w nogach i muszę stawiać powoli i ostrożnie stopy, stopa przed stopą, i bardzo uważać na kierunek. Tak łatwo jest zboczyć przy tym stanie rzeczy. Czytelnik zrozumie, że nie mogę być zbyt wyraźnym. Moja forma egzystencji zdana jest w wysokim stopniu na domyślność, wymaga pod tym względem wiele dobrej woli. Będę niejednokrotnie do niej apelował, do bardzo subtelnych jej odcieni, o które można się upomnieć jedynie pewnym dyskretnym mruganiem, utrudnionym dla mnie specjalnie z powodu sztywności maski odzwyczajonej od ruchów mimicznych. Zresztą nie narzucam się nikomu, daleki jestem od tego, żeby się rozplęwać z wdzięczności za azylum udzielone mi łaskawie w czyjejś domyślności. Kwituję z tej koncesji<sup>2</sup> bez wzruszenia, chłodno i z zupełną obojętnością. Nie lubię, gdy mi ktoś wraz z dobrodziejstwem zrozumienia prezentuje rachunek wdzięczności. Najlepiej, gdy się mnie traktuje z pewną lekkością, z pewną zdrową bezwzględnością, żartobliwie i po koleżeńsku. Pod tym względem moi poczciwi, prości duchem koledzy z biura, młodszy koledzy z urzędu, utrafilili ton właściwy.

Zachodzę tam czasami z przyzwyczajenia, około pierwszego każdego miesiąca, i stoję cicho przy balustradzie czekając, aż mnie zauważą. Rozgrywa się wtedy następująca scena. W pewnej chwili naczelnik urzędu, pan Kawałkiewicz, odkłada pióro, daje oczyma znak urzędnikom i mówi nagle, patrząc mimo<sup>3</sup> mnie w próżnię powietrza, z ręką przy uchu: – Jeśli mnie słuch nie myli, to to pan, panie radco, gdzieś tu jest między nami w pokoju! – Jego oczy, utkwione wysoko nade mną w próżni, wchodzą w zez, gdy to mówi, twarz uśmiechnięta jest figlarnie. – Usłyszałem głos jakiś w przestworzach i zaraz pomyślałem sobie, że to musi być nasz kochany pan radca! – woła on głośno, z natężeniem, jakby do kogoś bardzo odległego. – Niechże pan zrobi jakiś znak, niech pan zmaci choć powietrze w tym miejscu, gdzie pan się unosi. – Wolne żarty, panie Kawałkiewicz – mówię mu cicho, prosto w twarz – przyszedłem po moją pensję. – Po pensję? – krzyczy pan Kawałkiewicz patrząc zezowato w powietrze – pan powiedział: po pensję? Pan żartuje, kochany panie radco. Pan już dawno skreślony jest z listy emerytalnej. Jak długo pan chce pobierać jeszcze pensję, łaskawy panie?

W ten sposób żartują sobie ze mnie w sposób ciepły, ożywczy i ludzki. Ta szorstka rubaszność<sup>4</sup>, ten bezceremonialny chwyt za ramię sprawia mi dziwną ulgę. Wychodzę stamtąd pokrzepiony i raźniejszy i śpieszę prędko do domu, żeby zanieść do mieszkania trochę tego miłego wewnętrznego ciepła, które się już ulatnia.

Ale natomiast inni ludzie... Natrętne, nigdy nie wypowiedziane pytanie, które czytam ciągle w ich oczach. Niepodobna się od niego opędzić. Przypuśćmy, że tak jest – dlaczego zaraz te wydłużone miny, te uroczyste twarze, to cofające się niejako z szacunku milczenie, ta przestraszona oględność<sup>5</sup>?

---

<sup>1</sup> *inherentny* – nierozłączny z czymś, przynależny do czegoś. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *koncesja* – ustępstwo. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *mimo* (daw.) – obok. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *rubaszność* – bezpośredniość, bezceremonialność w sposobie bycia. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *ogłędność* – ostrożność i delikatność w zachowaniu. [przypis edytorski]

Ażeby tylko ani słówkiem nie potrącić, przemilczeć delikatnie mój stan... Jakże przenikam tę grę! Nie jest to nic innego ze strony ludzi, jak forma sybaryckiego<sup>6</sup> smakowania w sobie, delectowania się swoją na szczęście innością, maskowane hipokryzją gwałtowne odżegnywanie się od mojego stanu. Wymieniają wymownie spojrzenia i milczą, i pozwalają tej rzeczy w milczeniu się rozrastać. Mój stan! Być może, że nie jest on całkiem poprawny. Może jest w nim pewien nieznacznym mankament<sup>7</sup> zasadniczej natury! Mój Boże! Cóż z tego? Nie jest to jeszcze powód do tej prędkiej i przerażonej ustępliwości. Nieraz zbiera mnie pusty śmiech, gdy widzę to nagle poważniejące zrozumienie, to skwapliwe<sup>8</sup> uznanie, z jakim robią niejako miejsce memu stanowi. Jak gdyby to był argument zgoła nieodparty, ostateczny, bezapelacyjny. Dlaczego nalegają tak bardzo na ten punkt, dlaczego jest dla nich ponad wszystko ważne i dlaczego daje im stwierdzenie tego tę głęboką satysfakcję, którą kryją za maską spłoszonej dewocji?

Przypuśćmy, że jestem, żeby tak rzec, pasażerem lekkiej wagi, w istocie ponad miarę lekkiej wagi, przypuśćmy, że wprawiają mnie w kłopot pewne pytania np.: jak stary jestem, kiedy obchodzę imieniny itp. – czy to jest powód, żeby nieustannie krążyć dookoła tych pytań, jak gdyby w tym tkwiło sedno rzeczy? Nie żebym się wstydził mego stanu. Bynajmniej. Ale nie mogę znieść przesady, z jaką wyogromniają<sup>9</sup> znaczenie pewnego faktu, pewnego rozróżnienia, w istocie jak włos cienkiego. Śmieszy mnie ta cała fałszywa teatralność, ten uroczysty patos, jaki spiętrzano nad tą sprawą, to drapowanie<sup>10</sup> momentu w kostium tragiczny, pełen ponurej pompy. Tymczasem w rzeczywistości? Nic bardziej pozbawionego patosu, nic bardziej naturalnego, nic banalniejszego na świecie. Lekkość, niezależność, nieodpowiedzialność... I muzykalność, nadzwyczajna muzykalność członków, żeby tak się wyrazić. Nie można przejść obok żadnej katarynki, żeby nie tańczyć. Nie z wesołości, ale ponieważ jest nam wszystko jedno, a melodia ma swoją wolę, swój uparty rytm. Więc ustępuje się. „Małgorzatko, skarbie mojej duszy...” Jest się za lekkim, zbyt nieodpornym, żeby się sprzeciwić, a zresztą w imię czego sprzeciwić się tak nieobowiązuco zachęcającej, tak bezpretensjonalnej propozycji? Więc tańczę, a raczej drepę w takt melodii drobnym truchcikiem emerytów, podskakując od czasu do czasu. Mało kto to zauważa, zajęty sobą w bieganinie dnia powszedniego. Jednemu chciałbym zapobiec, by czytelnik nie robił sobie wygórowanych wyobrażeń o mojej kondycji. Przestrzegam wyraźnie przed przecenianiem jej i to zarówno **in plus**, jak też **in minus**. Tylko żadnej romantyki. Jest to kondycja jak każda inna, jak każda inna nosząca w sobie znamię najnaturalniejszej zrozumiałości i zwyczajności. Wszelka paradoksalność znika, gdy się raz jest po tej stronie sprawy. Wielkie otrzeźwienie – tak mógłbym nazwać mój stan, wyzbycie się wszystkich ciężarów, taneczna lekkość, pustka, nieodpowiedzialność, zniwelowanie różnic, rozluźnienie wszelkich więzów, rozprzęgnięcie się granic. Nic mnie nie trzyma i nic nie więzi, brak oporu, bezgraniczna swoboda. Dziwny indyferentyzm<sup>11</sup>, z jakim przesuwam się lekko wskroś wszystkich dymensji<sup>12</sup> bytu – powinno to być właściwie przyjemne – czy ja wiem? Ta bezdenność, ta wszędobylskość, niby to beztroska, obojętna i lekka – nie chcę się skarżyć. Jest taki zwrot: nie zagrzewać nigdzie miejsca. Oto jest właśnie: dawno przestałem już zagrzewać miejsce pod sobą.

Gdy z okna mego pokoju, wysoko położonego, patrzę na miasto, na dachy, ściany ogniowe<sup>13</sup> i kominy w burym świetle jesiennego świtu, na cały ten gęsto zabudowany krajobraz z ptasiej perspektywy, ledwo rozpowity z nocy, dniejący blade ku żółtym horyzontom, pokrajanym na jasne strzępy przez czarne falujące nożyce krakania wroniego – czuję: oto jest życie. Każdy z nich tkwi w

<sup>6</sup> *sybarycki* – świadczący o rozmiłowaniu w radościach życia. [przypis edytorski]

<sup>7</sup> *mankament* – defekt, wada. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *skwapliwy* (daw.) – szybki a. chętny. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *wyogromniać* – wyolbrzymiać. [przypis edytorski]

<sup>10</sup> *drapowanie* – dosł. układanie tkaninę w dekoracyjne fałdy, przen. uwznioślenie. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *indyferentyzm* – obojętność. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *dymensja* (z łac.) – wymiar. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *ściana ogniowa* – mur mający zapobiec rozprzestrzenianiu się pożaru. [przypis edytorski]

sobie, w jakimś dniu, do którego się budzi, w jakiejś godzinie, która do niego należy, w jakiejś chwili. Gdzieś tam w płóciennej kuchni gotuje się kawa, kucharka odeszła, brudny odbłask płomienia tańczy na podłodze. Czas zmylony ciszą odpływa na chwilę wstecz, poza siebie, i przez te nie liczone chwile rośnie z powrotem noc na falującym futerku kota. Zosia z pierwszego piętra ziewa długo i pręży się przeciągle, zanim otworzy okno do sprzątnia, naspane obficie, nachrapane powietrze nocy leniwie wędruje do okna, przekracza je, wstępując powoli w burą i dymną szarość dnia. Dziewczyna zanurza ręce ociągliwie w ciasto pościeli, ciepłe jeszcze, nakisłe od snu. Wreszcie z dreszczem wewnętrznym, z oczyma pełnymi nocy wytrząsa przez okno wielką, obfitą pierzynę i lecą na miasto puszki pierza, gwiazdki puchu, leniwy wysiew rojeń nocnych.

Wtedy marzę o tym, żeby zostać roznosicielem pieczywa, monterem sieci elektrycznej albo inkasentem<sup>14</sup> kasy chorych. Albo choćby kominiarzem. Rano, skoro świt, wchodzi się w jakąś bramę, lekko uchyloną, przy świetle latarki dozorca, przykładając niedbale dwa palce do daszka, z żartem na ustach i wkracza w ten labirynt, ażeby gdzieś późnym wieczorem, na drugim końcu miasta go opuścić. Przez dzień cały przeprowiać się z mieszkania do mieszkania, prowadzić jedną nie dokończoną, zawiłą rozmowę, od końca do końca miasta, rozdzieloną na partie między lokatorów, zapytać o coś w jednym mieszkaniu i otrzymać odpowiedź w następnym, rzucić w jednym miejscu żart i długo w dalszych zbierać owoce śmiechu. Wśród trzaskania drzwiami przeprowiać się przez ciasne korytarze, przez zastawione meblami sypialnie, przewracać nocniki, potrać skrzypiące wózki, w których płaczą dzieci, schylać się po opuszczone grzechotki niemowląt. Ponad potrzebę długo zatrzymywać się w kuchniach i przedpokojach, gdzie sprzątają służące. Dziewczęta, uwijając się, prężą młode nogi, napinają wypukłe podbicia, grają, połyskują tanim obuwem, stukocą luźnymi pantofelkami...

---

<sup>14</sup> *inkasent* – osoba pobierająca opłaty. [przypis edytorski]

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.